

To nie jest zawód, z którego można po prostu odejść

„Panaceum”: - Gdy usłyszałam o Pańskiej emeryturze, wyobraziłam sobie Pana w fotelu z książką i filiżanką herbaty, tymczasem zastałam Pana w szpitalu.

Prof. Jacek Moll: - Na emeryturę trzeba przejść, gdy się skończy 70. lat. Po prostu nie ma na to rady. Ja również myślałem, że kiedy to nastąpi, będę miał więcej czasu na podróże zarówno po kraju, jak i w bardziej odległe części świata. Byłem przekonany, że będę nadrabiał turystyczne zaległości, ale okazuje się, że w naszym zawodzie nie jest to takie proste. Większość moich podróży była związana z wyjazdami służbowymi na zjazdy, a zobaczyć kawałek świata można było niejako przy okazji. W tej chwili nadal pracuję, chociaż na innych zasadach.

- Pańska żona, prof. Jadwiga Moll przeszła na emeryturę na początku roku, Pan kilka miesięcy później. Oboje jesteście teraz konsultantami, jak wygląda ta praca?

- Zmieniła się formuła naszej pracy. Musiałem zrezygnować z kierowania Kliniką, jeszcze przez pół roku pełniłem obowiązki kierownika, a w tej chwili te obowiązki pełni jeden z moich asystentów... [dr Marek Kopala – przyp. red.]. Zmieniły się dwie kwestie, po pierwsze: zarobki, bo jestem teraz na etacie starszego asystenta, a nie kierownika kliniki. Druga rzecz, która mnie bardziej cieszy, to fakt, że jestem zwolniony z różnych obowiązków administracyjnych, które mi dotąd doskwierały.

- Czyli pracy jest odrobinę mniej, czy udało się w związku z tym znaleźć czas na jakieś hobby?

- Czasu jest zdecydowanie więcej, nie mam już teraz dyżurów, nawet pod telefonem. Chociaż powtarzam moim kolegom, że zawsze mogą do mnie zadzwonić, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba. Odbieram o każdej porze dnia i nocy, bo wciąż zdarzają się ciężkie przypadki, wymagające mojego doświadczenia. Koledzy, którzy tu teraz pracują, zaczynali ze mną praktycznie od zera, wszyscy są moimi wychowankami. Zostawiam doskonale wykształcony zespół. I to jest dla mnie najważniejsze, bo można odejść, ale trzeba coś po sobie zostawić.

- Ale nie odłożył Pan jeszcze skalpela?

- Zdarza mi się asystować do operacji albo w bardzo wyjątkowych przypadkach operować jako pierwszy operator. Ale już od kilku lat dążymy do tego, żeby koledzy operowali samodzielnie.

- Gdy Pan o tym opowiada, słyszę ogromną pasję. Niedawno czytałam, że w ciągu ponad trzydziestu lat przeprowadził Pan 15 tys. operacji, w tym 10 tys. bezpośrednio. Pamięta Pan je wszystkie, czy to w ogóle możliwe?

- Wszystkich oczywiście nie da się zapamiętać. Najbardziej zapadają w pamięć te najtrudniejsze. Ponadto ja nie mam styczności z pacjentami po operacji, tę rolę przejmują kardiolodzy. Moja żona [prof. dr hab. n. med. Jadwiga Moll, kardiolog – przyp. red.] pamięta znacznie więcej, bo to do niej pacjenci trafiają później na kontrolę. Teraz mamy już dorosłych pacjentów, których operowałem, gdy byli dziećmi, nierzadko noworodkami. Mamy kontakt z pacjentkami, które mimo ciężkich wad serca urodziły własne dzieci. To jest dla nas ogromna satysfakcja.

- Słyszę, że kwestie pacjentów chyba dominują w Państwa rodzinie? To wiodący temat przy kolacji?

- Oj tak, to zostało i to nam zawsze zarzucały dzieci, że my ciągle tylko rozmawiamy o pacjentach. Ponieważ nadal razem pracujemy, nadal omawiamy te problemy w domu. Na szczęście udaje nam się wracać wcześniej. Dawniej nie pojawiałem się w domu przed godziną 20, teraz jest z tym trochę lepiej.

- Może udało się więc znaleźć t trochę czasu na hobby?

- Bardzo kocham przyrodę, mieszkamy na wsi, więc lubię patrzeć, jak wszystko rośnie i się rozwija. Fakt, że obecna pora roku niespecjalnie temu sprzyja. Liczę na porządną zimę, bo kochamy narty. Wszystkie nasze dzieci i wnuki (najmłodsze jeszcze nie) nauczyliśmy jeździć i to jest nasza wspólna pasja. To jest dla nas najlepszy wypoczynek. Staramy się wyjeżdżać całą rodziną, chociaż to trudna do zorganizowania eskapada przy takiej dużej grupie.

- Skoro już rozmawiamy o rodzinie, a zbliżają się święta Bożego Narodzenia, pozwolę sobie zapytać, jak te dni wyglądają u Państwa?

- Cała rodzina zjeżdża do nas. Co roku docierają wszystkie dzieci i wszystkie wnuki łącznie z córką i zięciem, którzy mieszkają w Stanach Zjednoczonych. Zresztą zięć, który jest urodzonym Amerykaninem, mówi, że nie ma lepszych świąt niż w Polsce. Mamy na szczęście tyle miejsca, że wszyscy się mieścimy. To nasza tradycja, ale nie tylko to. W każdą niedzielę wszyscy, z wyjątkiem córki mieszkającej za granicą, spotykamy się u

nas na obiedzie. To jest spora grupa: jedenaścioro wnucząt i troje dzieci z małżonkami. W tym roku święta będą wyglądać trochę inaczej, bo wspomniana już córka z zięciem, prawdopodobnie nie zdołają przylecieć ze względu na epidemię COVID-19. Nic nie da się jednak na to poradzić. Liczymy za to na śnieg, mamy tu spory teren i nawet niewielką górkę, gdzie nasze maluchy mogą pojeździć na sankach. I wtedy będą prawdziwe święta.

- Czego zatem życzyć Państwu na święta i Nowy Rok?

- Zdrowia. Niczego więcej nie potrzebujemy. Zdrowie w tych covidowych czasach wydaje się szczególnie potrzebne.

- Zatem życzę Państwu zdrowia i dziękuję za tę rozmowę.

Rozmawiała Justyna Kowalewska

Panaceum 12/2020